

Spowiedź emigranta

Witold Liliental

2 lutego 2019



O tym, czym był okres stalinizmu w Polsce czytałem niezliczone razy, oglądałem filmy, wśród nich „Człowieka z marmuru”, więc mam wyraźne i chyba poprawne wyobrażenie o tym, jak to wyglądało z punktu widzenia tzw. szarego człowieka. A jednak żadna lektura i żaden film nie spowodował u mnie tak silnych emocji, jak „Zimna wojna” Pawła Pawlikowskiego. Możliwe, iż fakt, że został nakręcony jako czarno-biały dodał do aż namacalnego poczucia szarzyzny tamtych czasów, nie wspominając o ówczesnej konieczności podporządkowania się odgórnym nakazom politycznym. W filmie skutkuje to tęsknotą za wolnością, za życiem takim, jakiego się pragnie, ucieczką i rozdarciem duchowym. Rozterki duchowe i beznadzieja towarzyszące próbom adaptacji na Zachodzie też odebrałem z poczuciem, że tak w rzeczywistości było. Wiem, bo sam w tym czasie byłem emigrantem i choć byłem wówczas dorastającym chłopcem, przechodziłem podobne emocje, oczywiście stosownie do swojego młodego wieku. Nawet Polska z roku 1959, kiedy do kraju wróciłem, była siermiężna i wyglądała tak, jak ją reżyser w tym filmie pokazał. Poznawałem w nim wszystko, ja tam byłem, to tak wyglądało.

Ale nie o filmie chcę tu opowiedzieć. Film był tylko katalizatorem powrotu często powracających myśli i jakiegoś nieracjonalnego poczucia wyrzutów, jakie niekiedy mną targają. Zdecydowanie więcej lat swojego życia przeżyłem na emigracji, niż w Polsce, przez co uniknąłem bycia tam w czasach niebezpiecznych i najtrudniejszych, wymagających uczciwości i przyzwoitości, ale też i odwagi, jak i odporności psychicznej. Za każdym razem los decydował za mnie i nie wiem, dlaczego akurat mnie tak oszczędzał, gdy inni ginęli, cierpieli albo w najlepszym razie czuli się oszukani przez historię. Los nie oszczędzał mi jednak z tego powodu rozterek duchowych.

Zacznę od tego, że urodziłem się na kilka miesięcy przed wybuchem wojny i z tej racji byłem za mały, żeby rozumieć okropności okupacji i bać się tak, jak mieli prawo bać się starsi ode mnie i dorośli. Owszem, byłem nauczony, że na ulicy trzeba omijać żołnierzy w niemieckich mundurach, ale ten prawdziwy, świadomy strach został mi oszczędzony. Nie wiedziałem o swoich żydowskich korzeniach, nie znałem nawet swojego prawdziwego nazwiska, nie byłem świadomy śmiertelnego zagrożenia, kiedy niektóre inne dzieci już w moim wieku musiały kryć się po norach i piwnicach. Czym zasłużyłem na taki luksus? Kiedy wybuchło Powstanie, ja byłem w podwarszawskich wówczas Włochach, skąd tylko widać było łunę unoszącą się w oddali, ale nie było walk, nie było rzezi mieszkańców, nie było walących się domów.

W niedługim czasie po zakończeniu wojny, kiedy do niektórych dzieci ojcowie wracali z wojska, z obozów czy nawet z kryjówek, mój do mnie nie wrócił. O tym, czym był Katyń uświadomiłem sobie w pełni już będąc na emigracji, tej pierwszej, oczywiście. Już w 1945 r. odnalazła nas przez Czerwony Krzyż rodzina, która dawno wyemigrowała do Unii Płd. Afryki (dziś RPA) i rozpoczęła starania o sprowadzenie nas tam. Moja matka, po stracie męża uznała, że zapewni mi lepszą przyszłość tam, a nie w Polsce. Po czterech latach trudnych i wydawało się beznadziejnych starań uzyskaliśmy pozwolenie na wyjazd z Polski i w styczniu 1949 r. opuściliśmy ją na 10 lat.

Niemal od pierwszych miesięcy zaczęła się tęsknota za Polską, za przyjaciółmi, za zupełnie inną mentalnością ludzi, za Warszawą, chociaż zrujnowaną, za tym wszystkim, co zostawiliśmy. To prawda, wyjazd i dziesięcioletni pobyt w Johannesburgu zapewnił mi, ale już w dorosłości, lepszy start życiowy, bowiem po powrocie biegła znajomość angielskiego otwierała mi wiele drzwi, zapewniała dodatkowy zarobek w postaci tłumaczeń. W dodatku, już po ukończeniu studiów na Politechnice Warszawskiej, pomimo bycia bezpartyjnym wysyłany byłem służbowo do krajów zachodnich, bo mogłem swoje referaty techniczne wygłosić bezbłędną angielszczyzną i jeszcze przydać się dyrektorowi jako tłumacz. Brak bariery językowej ułatwił zdobycie pracy w Arizonie, kiedy znalazłem się na nieplanowanej drugiej emigracji, trwającej do dziś. Ale w tamtym czasie jeszcze tej pierwszej emigracji wcale nie było wiadomo, czy my jeszcze kiedyś ujrzemy Polskę. Właśnie zaczął się w Kraju najgorszy okres stalinizmu. Mnie to ominęło. A żyjąc w Polsce mógłbym przecież dobroduszenie uwierzyć w te wszystkie hasła i stać się przekabaconym młodym wielbicielem Stalina i „przodującego w świecie Kraju Rad”, ale mógłbym też narazić swoją matkę na trudne do przewidzenia niebezpieczeństwo, powtarzając, gdzie nie trzeba to, co w domu słyszałem o Katyniu. Dopiero znacznie później zdałem sobie sprawę z tego, ile mnie jako dziecku, a później dorastającemu młodzieńcowi los oszczędził.

Moja matka na tamtym gruncie wychowywała mnie w miłości do Polski, jej kultury i tradycji i pilnowała, bym mówił po polsku wśród Polaków, poprawiając każdy błąd i zmuszając mnie do czytania polskich książek. Dziś błogosławię jej pamięć za to. Wychowywała mnie w kulcie dla ojca, który zginął w Katyniu, ponieważ był polskim oficerem. Pouczała mnie, żeby nigdy nie używać określenia: „patriota” w odniesieniu do siebie samego. „Tylko ktoś tak może o tobie powiedzieć”.

Kiedyś zapytałem ją, dlaczego, skoro tak bardzo kocha Polskę i chce, bym pozostał Polakiem, zdecydowała się na emigrację. Odpowiedziała, że chciała mi oszczędzić tego, czego sama doznała przed wojną i co zaczynało odżywać w powojennej Polsce. Usłyszałem po raz pierwszy o gettach ławkowych na uniwersytecie, o podłych ludziach, którzy w czasie wojny wydawali Niemcom Żydów. Ale zaznaczała, że nie można winić całego narodu. Dzięki niej pozostałem Polakiem i przez blisko 10 lat, kładąc się spać wyobrażałem sobie nasz powrót do Polski, idealizowanej, widzianej przez różowe okulary, ale bliskiej i upragnionej. Południowej Afryki nigdy nie potrafiłem duchowo uznać za swoją ojczyznę. Byłem tam z konieczności dziejowej, nie z wyboru. Czasem w nocnych marzeniach przed snem myślnami potrafiłem się zagalopować, infantylnie i romantycznie. Wyobrażałem sobie, że dołączam do swojego przyjaciela z lat dziecięcych, stoimy w okopach i walczymy o wolną Polskę przeciwko komunistom. Myślałem nawet, że to ja jestem słynnym „44” i pomogę Polskę wyzwolić. Już miałem za sobą czytanie „Dziadów”. Kilka lat później, już po powrocie do Polski dowiedziałem się, że ten mój przyjaciel jest członkiem partii.

Wielki przełom nastąpił w październiku 1956 r. Pierwsze dwa dni napawały nas strachem pomimo bycia z dala od niebezpieczeństwa. Gazety donosiły, że wojska sowieckie kierują się na Warszawę, a w FSO robotnikom rozdawano broń. I nastąpił prawie przewrót. Ster władzy objął Gomułka, dopiero co wypuszczony z więzienia i został uznany za niemal bohatera narodowego. Gazety na świecie rozpisywały się o radości Polaków i zmianie, jak się wyrażały, ustroju. Z dnia na dzień pisma, jakie nam rodzina z Polski przysyłała zmieniły diametralnie ton i treść. To już była zupełnie inna Polska. W „Przekroju” dominowała wyraźna nostalgia za dawną, przedwojenną Polską. Różni ludzie mówili, że ten raj nie potrwa długo, że wszystko wróci do tego, co było. Wróciło, istotnie, ale już nigdy do stalinizmu. W listopadzie z paszportem południowoafrykańskim odwiedziłem Polskę. Trwała jeszcze atmosfera zmiany, a ja byłem zauroczony dosłownie wszystkim. Czułem, że to mój kraj, moja Warszawa, że tu jest mój dom. Mama miała jednak opory, kiedy po powrocie zadeklarowałem, że musimy wracać do Polski. Tęskniła, ale bała się. Dla swojego syna opory pokonała i w marcu 1959 r. wróciliśmy do Polski na stałe. W tym samym czasie powróciło do Polski tysiące powojennych emigrantów. Przyznano nam status repatriantów.

W tym miejscu konieczna jest dygresja. Jak spowiedź, to spowiedź. Dziś często w rozmowach, z uśmiechem mówię ludziom, że ja funkcjonuję na wariackich papierach. Po powrocie do Polski jako repatriantowi dano mi prawo studiów bez egzaminu wstępnego na dowolnej uczelni. Uznano moją maturę z Johannesburga, ale nałożono obowiązek zdania dodatkowych egzaminów z języka polskiego, historii i geografii Polski. Z takim warunkiem na oficjalnym druku złożyłem papiery na Politechnice Warszawskiej. Złożyłem i... zapomniałem. Warunkodawcy chyba też, bo kolejne lata studiów zaliczałem i nikt mi o niczym nie przypominał. Kiedy w kwesturze odbierałem dyplom magistra inżyniera, zauważyłem to piśmiśko jeszcze leżące w mojej teczce. Kiedy po obronie pracy doktorskiej, mój stopień musiał być rutynowo uznany przez państwową komisję weryfikującą takie prace, też nikt nie kwestionował tego, że ja de facto nie mam polskiej matury. Ale to nie wszystko. W latach osiemdziesiątych w Arizonie uczyłem dzieci tych trzech przedmiotów w sobotniej szkole polskiej, a w dziewięćdziesiątych, już w Kanadzie, wygłaszałem pogadanki historyczne w szkołach i w polskim konsulacie. I to bez polskiej matury!

Byłem w Polsce i wraz z innymi przeżywałem euforię i trudy w zaopatrzeniu podczas roku zwanego „karnawałem Solidarności”. Mieliśmy wówczas wielkie nadzieje. W sierpniu 1981 r., korzystając z liberalizacji, polecałem z dorastającymi córkami do Arizony, gdzie na stażu naukowym przebywała moja ówczesna żona. Miałem jej zostawić córki na następny rok, a sam wrócić po bezpłatnym urlopie. Tam na miejscu nastąpił rozpad mojego małżeństwa, a w Polsce ludzie obudzili się i usłyszeli, że jest stan wojenny. Los za mnie zdecydował. Nie wróciłem.

Po bezsennych nocach biczowałem się, czy ja może swój Naród zdradziłem przez to, że natychmiast nie wracam? Ale co miałbym, właściwie, przez to osiągnąć? Stanąć ramię w ramię z jakimś oddziałem zbuntowanych, walczących? Romantyczne to, ale głupie. Czy ja wyjeżdżając z Polski działałem z myślą o własnej wygodzie? Zapachniał mi Zachód, wspaniałe zarobki, dostatnie życie? Ale przecież ja jeszcze wcale nie zdecydowałem ostatecznie, że zostaję tu na stałe. Po prostu realistycznie oceniam sytuację i czekam, co będzie dalej. A to, z kolei, znaczy, że jestem zwykłym asekurantem. I tak źle, i tak niedobrze. Pokutowały u mnie lata wszczepiania przez

propagandę państwową świadomości, że miejsce Polaka jest tylko w Polsce, a kto siedzi zagranicą, ten jest zdrajcą. Ja przecież też kocham Polskę, w żadnym innym kraju na świecie nigdy nie będę czuć się tak, jak we własnym. Przewracałem się z boku na bok, bicząc się mentalnie, oskarżając i tłumacząc, na przemian.

Dziś zastanawiam się, ile osób, które tak jak ja znalazły się wówczas na Zachodzie, przechodziło podobne wewnętrzne rozterki. Zapewne niektórym pozostanie zagranicą przyszło łatwo, bez skrupułów. Ja, niestety, miałem je i nie wpływały one korzystnie na moje zszarpane nerwy. Z marazmu wyszedłem dzięki poznaniu swojej obecnej żony, Polki, która mnie wspierała. Nowa rodzina, nowa córka, nowe życie trzymały nas wpierw w Stanach, później w Kanadzie. Następne trzydzieści kilka lat, to ustabilizowane życie, osiągnięcie pewnej pozycji zawodowej i społecznej. Tu, gdzie mieszkamy, cieszymy się otwartością większości Kanadyjczyków na imigrantów z różnych krajów. Jesteśmy tu akceptowani i szanowani, zintegrowani z otoczeniem. Mężem najmłodszej córki, urodzonej w mieście Phoenix w Arizonie i mówiącej biegle po polsku, jest Kanadyjczyk i nasz wnuczek urodził się już w czasach mniej burzliwych. I to wszystko trzyma nas tu. Ale żyjemy jednocześnie mentalnie w Polsce, która na naszych oczach po 1989 r. rozwijała się wspaniale, a Warszawa piękniała coraz bardziej przy okazji każdej wizyty.

Dziś znowu żyjemy z rozterką duchową. Nasi przyjaciele z Kraju często w rozmowach telefonicznych dają wyraz załamania, boją się przyszłości, postępu rządów autorytarnych, erozji tego wszystkiego, z czego byli tak dumni. A my sobie siedzimy tymczasem z daleka bez powodów do strachu. Ponownie wraca to poczucie jakiejś nieracjonalnej winy. Przez całe życie los mnie zawsze oszczędzał, jak coś się działo złego, ja byłem z daleka, bezpieczny. Czyżby los wyznaczył mi jakąś rolę?

Roli żadnej w moim wieku już nie odegram, ale przynajmniej mogę być świadkiem najnowszej historii (o ironio, bez matury!) i mogę młodszym służyć radą. Przede wszystkim, by lekcję historii, zwłaszcza ubiegłego stulecia, przerobić i wyciągnąć wnioski. Zrozumieć, do czego mogą doprowadzić marsze skrajnych nacjonalistów i hasła ksenofobiczne, do czego może dojść, jeśli toleruje się bakcyła nienawiści rasowej, religijnej i światopoglądowej. Kiedy w Trzeciej Rzeszy podczas „Nocy kryształowej” palono domy i rozbijano sklepy żydowskie, policja przyglądała się beczynnemu. Kiedy w rocznicę wyzwolenia obozu Auschwitz pod jego bramą polscy nacjonaści wykrzykiwali rasistowskie hasła skrajnej nienawiści, policja tylko odsunęła od nich ludzi protestujących przeciwko temu skandalowi. Mowa nienawiści, zwana już dziś popularnie z angielskim hejtem, opanowała dyskurs polityczny. To prawda, że czasem reprezentantom opozycji też puszczają nerwy i wyrażają się „soczyście”, ale nie ma żadnej symetrii w stosowaniu tego hejtu.

Od dawna liczni politycy obozu władzy oficjalnie nazywają opozycję „zdrajcami”, „targowicznymi” i zostaliśmy podzieleni na lepszy i gorszy sort Polaków. Nie uczyłem się polskiej historii w szkole, nie zdawałem nigdy egzaminów z wiedzy historycznej, ale czytałem sporo i nie znam przykładów z przeszłości takiego podzielenia narodu, jak dziś. No, może z grudnia 1922 roku, kiedy nienawiść doprowadziła do zamachu na Prez. Gabriela Narutowicza. Wtedy też, już po jego śmierci usiłowano twierdzić, że Eligiusz Niewiadomski był szaleńcem i endecja nie może ponosić jakiegokolwiek moralnej odpowiedzialności. Trudno nie mieć skojarzeń z publicznymi enuncjacjami bezpośrednio po zamordowaniu prezydenta Gdańska, Pawła Adamowicza.

Nasza Ojczyzna (bo nadal za taką Polskę uznaję) znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie. Lekcja historii lat trzydziestych XX wieku, przerabiana wielokrotnie, jakoś idzie w zapomnienie. W naszej Ojczyźnie zwielokrotniła się ilość i częstotliwość bezkarnych napaści na ludzi należących do wszelkiego rodzaju mniejszości. Dlatego tak ważną i szlachetną rolę odgrywa Stowarzyszenie „Nigdy Więcej”, walczące z ksenofobią i antysemityzmem. Demokracja w Polsce jest zagrożona. Jedynym remedium jest uświadomienie sobie tego faktu i demokratyczna walka o przywrócenie normalności i przyzwoitości.

Ja już niczego nie dokonam, ale Wy, młodzi, będziecie żyć w takim świecie, jaki sobie sami wypracujecie. Życzę Wam, abyście nie musieli emigrować ani przeżywać takich rozterek duchowych, jakie były udziałem wielu z mojego pokolenia i jakie pokazał w sposób arcymistrzowski film „Zimna wojna”.

https://koduj24.pl/spowiedz-emigranta/?fbclid=IwAR2MO-IiDtcfACpPfRzq6BLmDz0d_1ko-01unwwwTvIH_l8l9G5kUd7007U